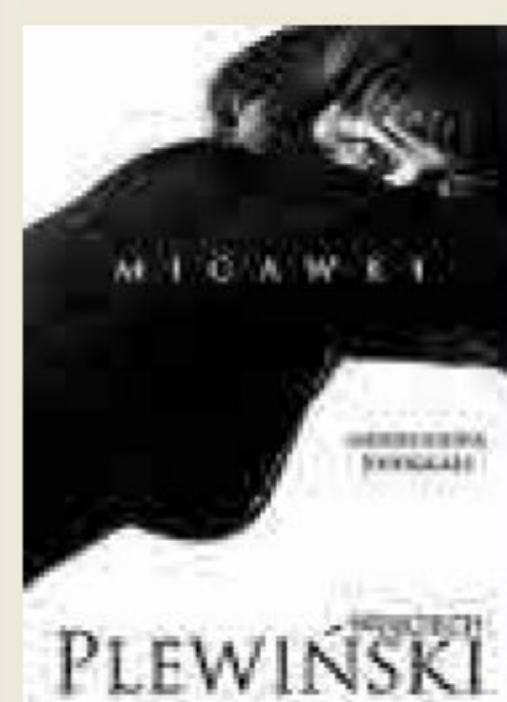


Fotografia to nieustające łowy. Ale też pół życia spędzonego w ciemni

Wybitny krakowski fotografik **WOJCIECH PLEWIŃSKI** opowiada nam o swym życiu i pracy, opisanymi we wspomnieniach pt. „Migawki”. To historia artysty, którego znamy tylko z końcowego efektu. I nie zdajemy sobie sprawy, jak ciężki i stresujący bywał proces dochodzenia do ideału

TEKST *Wacław Krupiński* | ZDJĘCIA *Wojciech Plewiński, Marek Straszewski*



„Migawki. Wspomnienia fotografa” – to wydany przez Znak zapis życia wybitnego polskiego artysty (współtworzony przez Joannę Gromek-Ilg), którego zdjęcia wielokrotnie nagradzono i wystawiano na całym świecie. „Migawki” to także wyjątkowy, pełen anegdot portret Polski minionych czasów.

– **Wiem, że co roku fotografuje Pan siebie, by zapisać nieuchronność przemijania. Twarz?**

– Nie. Całość. Najwyżej z małym listkiem. Z profilu i z frontu. By oddać degrengoladę ludzkiego ciała.

– **Długo już się Pan tak portretuje?**

– Bodaj od schyłku lat 60. Po rozmowie z Adamem Hoffmanem, rysownikiem, profesorem w Liceum Plastycznym i w krakowskiej ASP, wpadłem na ten pomysł. Zwrócił mi uwagę na to, jak ważnym tematem w sztuce jest przemijanie.

– **Ile zdjęć Pan zrobił w życiu, jest to w ogóle policzalne?**

– Kompletnie nie. Nawet nie wiem, ile zdjęć zrobiłem w teatrach. Podobno udokumentowałem ponad 400 premier...

– **Wiadomo natomiast, że w tygodniku „Przekrój”, do którego trafił Pan po roku 1956, ukazało się ok. 500 okładek z „kociakami”, czyli sfotografowanymi przez Pana atrakcyjnymi młodymi kobietami...**

– Te zdjęcia, po latach prezentowania w prasie przodownic pracy, były przełomowe. Cały „Przekrój” był w prasie polskiej zjawiskiem wyjątkowym.

– **Za sprawą tych zdjęć zyskał Pan opinię podrywacza...**

– Ta gęba chodziła za mną całe życie. Oswoiliem się z nią na tyle, że niczego nie prosto wałem. A mówiąc serio, to naprawdę nie było lekkie zajęcie. Znaleźć te dziewczyny nie było łatwo; chodziłem po akademikach, stołówkach, zaczepiałem je na ulicy. Prosiłem o pomoc kolegów... Wtedy w Polsce o agencjach modelek nikomu się nie śniło.

– **Pewnie trudno Panu nie było, z Pana z urodą amanta filmowego...**

– Pewnie mój sposób podejścia do dziewcząt oraz wygląd pomagały. Ale ja to głównie traktowałem jako robotę. Stresującą. Bo co tydzień musiała być okładka. Teraz fotograf z kolorowego magazynu ma do dyspozycji fryzjera, wizażystę, dom mody, ja byłem sam. Szczęśliwie wspierała mnie żona Joanna, która również fotografowała. Wielkim problemem były ciuchy. Te dziewczyny były często biedne, zbierały zatem rzeczy z całego akademika, a myśmy z żoną usiłowali je ubrać... Poza tym to nie były zawodowe modelki; bywało, że dziewczyna – ładna i pozornie fotogeniczna – na zdjęciach wypadła fatalnie. Umiejętność pozowania to swego rodzaju talent. Ma się go albo nie. Zna pan dawne określenie dziewczyn – „próżne”? Otóż takich próżnych wewnątrz, za to cudnych zewnętrznie szukałem.

– **Były też wśród nich uznane później spikerki telewizyjne, aktorki...**

– Ze studentkami szkoły aktorskiej był kłopot, gdyż uczelnia na takie sesje nie pozwalała. Aliści współpracowałem już z teatrami i panów dziekanów fotografowałem na scenie, zatem mogłem liczyć na małe kumoterstwo.



Marek Walczewski, Ewa Lassek i Jerzy Bińczycki w „Matce” Witkacego (w reż. Jerzego Jarockiego)

– **„Kociakami” na okładkach „Przekroju” były m.in. Anna Dymna, Beata Tyszkiewicz...**

– Anię zobaczyłem na ulicy, zabiegłem jej drogę, przedstawiłem się... A tu okazało się, że wie, z kim ma do czynienia. Zapamiętała mnie z dokumentowania „Wesela” w reżyserii Lidii Zamkow w Teatrze im. Słowackiego, gdzie jako podłotek grała Isię. Później także zrobiłem jej pierwsze akty.

– **A jak to było ze zdjęciem Beaty Tyszkiewicz, które zakonnice prowadzące jej liceum uznały za zbyt frywolne?**

– To było skromne zdjęcie pięknej dziewczyny z dekoltem, która przykłęknęła w poprzek na krześle, lekko pupkę wypinając... I, jak wiem, żadne srogie konsekwencje jej nie dosięgły. Co tam zakonnice. Kiedyś w redakcji czekała na mnie zmartwiona dziewczyna. „Czy to ja?” – zapytała, wskazując na okładkę. Zaprzeczyłem. „To proszę to poświadczyć na piśmie” – poprosiła. Takie oświadczenie złożyłem, i to podbijając redakcyjną pieczęć. Sprawa była poważna. Zazdrośny narzeczony dziewczyny, podejrzewając, że to ona, zagroził jej zerwaniem. Takie to były czasy.

– **Wspomnienia z „Przekroju” to część Pana książki „Migawki”, która zmusiła Pana do spojrzenia na dotychczasowe niemal 88 lat życia...**

– Już kilka dekad temu zrobiłem zapiski z mojego życia, poczynając od dzieciństwa.

Umiejętność pozowania to swego rodzaju talent. Bywało, że dziewczyna ładna i z pozoru fotogeniczna na zdjęciu wypadła fatalnie

Skłonił mnie do tego syn Maciej, przekonując, że dzięki temu pozna losy rodziny. Miał rację; to powinien zrobić każdy, kto ma potomków, o ile ci mają wolę poznania rodzinnych korzeni. I to stało się początkiem książki opublikowanej przez Znak. Ale kim ja jestem? Jednym z wielu. Iluż znałem dużo lepszych ode mnie; to o nich się powinno pisać.

– **Półowę opowieści zajmuje opis zawodu fotografa, to dla niego zrezygnował Pan z bycia architektem...**

– Prowadziłem aktywne życie: pletwonurkowanie, polowanie, penetracje jakichś źleznalezisk. Dla mnie ważne były przeżycia, docieranie do nieznanych miejsc... To mnie napędzało. Dlatego uciekłem od zawodu, siedzenia, projektowania. W nowym zajęciu pociągała mnie też jednoosobowa odpowiedzialność za to, co robię. Niezależność.

– **Szybko dostał Pan I nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie PTTK: menażkę i plecak.**

– Cenne trofea, zwłaszcza dla studenckiego wędrowca i żeglarza, jakim wtedy byłem. Był to mój pierwszy konkurs, na który wysłałem zdjęcia z pierwszych dwóch filmów, zrobione w ciągu miesiąca na sply-



FOT. WOJCIECH PLEWIŃSKI



FOT. MAREK STRASZEWSKI

To zdjęcie Beaty Tyszkiewicz niektórzy uznali za zbyt „odważne” dzieło Wojciecha Plewińskiego

Wojciech Plewiński w obiektywie Marka Straszewskiego

wie kajakowym. To mnie zmotywowało, uświadamiając, że fotografowanie może się przydać.

– Jeszcze a propos polowania. Wspomina Pan, jak to mieszkając w latach 50. u Anny i Jerzego Turowiczów, zajmował kuchnię i oprawiał w niej zajęcia...

– Anna była częściowo wychowana na wsi, dla niej lisy, zajęcia czy skubanie bażantów to nie było nic dziwnego. A potem się biesiadowało. W tamtych ciężkich czasach to był pokazny zastrzyk białka zwierzęcego, a łatwo o nie nie było.

– Lata u boku Jerzego Turowicza to był Pana uniwersytet?

– To był dom ludzi niezwykle światłych, tolerancyjnych, dobrych. Mogłem dowolnie czerpać z biblioteki Jerzego i z jego doświadczenia, wiedzy.

– W książce pisze Pan, że dzisiaj mamy Google, a Pan miał Turowicza...

– Coś w tym było.

– Przez wiele lat współpracował Pan z teatrami, by na specjalnych seansach, na etapie prób generalnych, robić zdjęcia reklamujące spektakl w teatralnych gablotach, a także w prasie...

– To były spotkania ze wspaniałymi twórcami – z Zamkow, Wajdą, Jarockim, Swinarskim, Grzegorzewskim i wieloma innymi...

– Zrobił Pan wyjątkowe zdjęcie Swinarskiego – z brodą, której nigdy nie nosił.

– Wrócił z Niemiec i pojawił się w Starym Teatrze, gdzie mieszkał, na próbie, właśnie taki obrośnięty. Przyszedł z buteleczką, siedli z Jurkiem Nowakiem, też mającym brodę – i tak ich w kularach sfotografowałem. Już bodaj tego samego dnia Konrad brodę zgolił.

– Nieżyjący już Zbigniew Łagocki, również wybitny fotografik, z którym to i Waławem Nowakiem, tworzył Pan fotograficzną grupę Trzech, powiedział mi o Panu: „Uważam go za najlepszego fotografa teatralnego”.

– To miłe z jego strony, bo przecież sam też współpracował z teatrami. Bardzo lubiłem tę pracę w teatrach, nie tylko Krakowa. Jedyne przedstawienie Teatru im. Słowackiego jakoś nie czułem. Może dlatego przygotowując po wielu latach dużą wystawę zdjęć teatralnych, nie wybrałem ani jednego z tej sceny.

– Jedno z Pana teatralnych zdjęć – Danuty Maksymowicz ze spektaklu „Zegary” na scenie Kameralnej Starego Teatru – było wyjątkowo pożądane...

– Dorabiałem je parokrotnie. To był rok 1970. Wtedy aktorka z nagim biustem była

Annę Dymną zobaczył na ulicy. Zabiegł jej drogę, przedstawił się. Okazało się, że ona wie z kim ma do czynienia. Spotkali się już...

sensacją, zatem szybę teatralnej gabloty rozbijano, a zdjęcie kradziono.

– Był Pan również na planie filmu „Sanatorium pod Klepsydrą” Hasa...

– Naczelnym „Przekroju” Marian Eile mnie wysłał, miałem szczęście, bo nie był to dzień zdjęciowy, ale przymiarek – wszyscy aktorzy byli w kostiumach, a ja, nie przeszkadzając, mogłem robić zdjęcia w tej niesamowitej scenerii, zaprojektowanej przez Jerzego Skarżyńskiego. Byli z żoną Lidią Minticz wspaniałą parą. I ogromnie cenioną. Ją aktorki uwielbiały; wiedziały, że w kostiumach od niej będą czuły się idealnie.

– Na Pana portretach odnajdujemy niemal wszystkie najważniejsze postaci kultury z lat minionych; wśród wielu słynnych Pana zdjęć jest to Krzysztofa Komedy z jego ówczesną narzeczoną, a później żoną – Zofią, zrobione w roku 1957 w Zakopanem.

– Oni i ja z żoną mieszkaliśmy w jednym pokoju jakiegoś pensjonaciku. I któregoś ranka, gdy Krzysztof zaczął sobie podgrywać na saksofonie, powodując irytację dziewczyn, bo chciały spać, złapałem za aparat. Zdjęcie za sprawą Jerzego Grotowskiego trafiło do gazety i Zosia wściekła się na mnie, zapowiadając, że mnie puści z torbami. Sprawa ostatecznie została załagodzona, w czym pewnie i Krzysztof miał swój udział. Później, gdy on już nie żył, Zosia napisała o nim książkę i właśnie ów kadr postanowiła umieścić na okładce.

– Gdyby zgłosił się do Pana jakiś wydawca, proponując wielki retrospektywny album typu „Plewiński The Best”, co by w nim było?

– Patrząc na lata pracy, widzę je w postaci takiego tortu, którego co najmniej ćwiart-

ką jest kultura, a potem cała reszta poświęcona, ogólnie mówiąc, przyrodzie, no i akty. Album poświęcony tej ćwiartce – „Szkice z kultury” – bo ona jest najważniejsza, już się ukazał przed pięciu laty. Teraz marzy mi się kolejny i może znów duża wystawa... Jest taki projekt rozpoczęty przez Fundację Sztuk Wizualnych z Krakowa, by mój dorobek zeskanować, obrobić cyfrowo i udostępnić w Internecie. Część tej pracy jest w trakcie realizacji. Sam też część zdjęć skanuję i opracowuję w wersji cyfrowej. Po latach odkrywam, o ile więcej informacji zdjęcia zawierają na negatywach, niż można było wydobyć przy niegdyśjszej obróbce ciemniowej i w druku. Ogromnie się cieszę, że dożyłem czasów tej technologicznej rewolucji. Cały czas także robię nowe zdjęcia – na przykład „z drogi”, czy to jadąc samochodem, zwłaszcza jak jestem wieszony, czy z pociągu... Chciałbym je kiedyś pokazać.

– Patrzy Pan na swoje 88 lat i mówi sobie: Wojtek, miałeś wielkie szczęście?

– Bo ja wiem? Pewnie tak... Przeżyłem czas wojny, a i później mi los sprzyjał, bo podczas nurkowania bywało dość niebezpiecznie. Miałem także szczęście jako fotograf, odnajdując się kiedy trzeba w odpowiednim miejscu. Fotografia to nieustające łowy, to uważne patrzenie i decydowanie, co należy utrwalić. Przychodziło mi to łatwo – zauważałem i dzięki temu sam byłem zauważany. Najnudniejszą i nużącą częścią tej pracy była techniczna obróbka – wywołanie filmów, robienie odbitek... To były godziny w ciemni. Nieraz się zastanawiam: jaki ja procent z moich 88 lat spędziłem w ciemni?